

Księga wyjścia – 5

6 kwietnia 2019

Ballada bez pomysłu

Zgodnie z wyznaczonym rytmem, jak w każdą środę, siadłem do pisania tekstu. Oczywiście bez adrenaliny i paniki się nie obeszło, bo jeszcze wczoraj, mając głowę nabitą tysiącem pomysłów, położyłem się spać spokojny i pewien, że tekst napiszę bez najmniejszego problemu.



Zweryfikowałem to jednak rano, gdy przyszło co do czego i siadłem do pisania. Po głębszej analizie wszystkie pomysły dnia poprzedniego podrzucałem. A to głupi, a to zbyt podobny do któregoś z poprzednich, a to nudny – i tak drogą eliminacji zostało mi tylko jedno – coś co obiecałem w ubiegłym tygodniu: retrospekcja. Czyli trochę wspomnień i przypomnień. Tym razem spokojnie i bez fajerwerków, trochę z braku pomysłu, a trochę dla odpoczynku. Nie napiszę, że to brak weny, bo nie znoszę tego typu egzaltacji.

Kilka dni temu minął rok od kiedy zacząłem pracę w Wielkiej Brytanii i napisałem pierwszy felieton z facebookowej serii „List z bezludnych Wysp”, która po kilku tygodniach zmieniła

się w cykle felietonów „Angielski Sen” i „Świat od Spodu” publikowanych na łamach „Dziennika Trybuna”.

„Los cię w drogę pchnął” – mam nadzieję, że nie śmieje się ze mnie ukradkiem” – tak zaczynał się pierwszy tekst napisany z Anglii. Ci, którzy śledzili je od początku, wiedzą że nie tylko ukradkiem, ale czasami głośno rżał ze śmiechu. Trzeba jednak przyznać, że i nas niejednokrotnie ubawił. Ale bywało też, że zasmucił. Los oczywiście, bo to przewrotne bydle.

Na początku czułem się tam faktycznie jak na bezludnej wyspie – stąd pierwotny tytuł „List z bezludnych Wysp”. Wszystko było inne i wszystkiego musiałem uczyć się od nowa, nawet chodzenia po ulicy. Wskoczyłem w zupełnie nieznaną mi świat. Chodzenie po ulicy, zakupy czy jazda autobusem albo pociągiem, to wszystko było obce, nieznaną i czasami nieprzewidywalne. Bywało, że kierowca autobusu zatrzymywał się na rondzie i ogłaszał, że wszyscy mają wysiąść bo on dalej nie jedzie.

Takich niespodzianek przeżyłem wiele i początkowo wprawiały mnie w osłupienie. Potem jednak przywykłem i nawet przestałem to zauważać, traktowałem jak coś normalnego. Nie będę streszczał tego co już zostało napisane, po pierwsze – jest tego zbyt dużo, a po drugie zawsze można wrócić i przeczytać. Trudno mi teraz, na chłodno i z perspektywy czasu, przekonująco i emocjonalnie opisać coś, co sprawiało mi kłopot, a później okazało się oczywiste lub banalnie łatwe.

Zanim nauczyłem się poruszać i co nieco poznałem lokalne obyczaje, przynajmniej kilka razy w tygodniu miałem ochotę wrócić do Polski. Ratowało mnie jednak pisanie, gdy już było naprawdę źle, siadałem do komputera i przerzucałem na wirtualny papier swoje emocje. Wbrew pozorom, gdy naprawdę było ciężko, powstawały najzabawniejsze teksty. Opisując jakieś zdarzenie, nawet bardzo przykre, dużo łatwiej złapać dystans i spojrzeć z boku. I wtedy robi się to śmieszne. Poza tym, jestem uparty i bardzo rzadko zstępuję z raz obranej drogi.

Przetrwiałem tam ponad pół roku. W dużej mierze pomogło mi w tym pisanie i upór. Przetrwiałbym dłużej, ale do dyrekcji firmy oraz agencji, która mnie zatrudniała dotarło, że w swoich felietonach opisuję swoją pracę. Że piszę o wyśrubowanych normach, nieludzkich warunkach i aroganckim podejściu do pracowników. Ktoś z moich polskich „przyjaciół” zrobił tłumaczenie i zaniósł gdzie trzeba. Wprawdzie nigdzie nie wymieniłem nazwy zakładu, ale kierownictwo uznało, że działam na szkodę firmy i wyleciałem. Tułałem się jeszcze jakiś czas szukając pracy, ale popadałem jedynie w długi. Wiem już kto na mnie doniósł i z jakich pobudek, ale nie będę świnią i nie wymienię nazwiska.

Złaziłem buty w poszukiwaniu jakiejś pracy. Łaziłem od knajpy do baru, od baru do sklepu, gdy widziałem jakąś budowę, pytałem managera. I nic, pracy nie znalazłem. Jedzenie dostawałem z foodbanku, więc głodem nie przymierałem, ale zadłużenie za mieszkanie rosło. W końcu na zaproszenie znajomego wylądowałem we Francji.

Kupił mi bilet i zapewnił pełne utrzymanie. Gdy zaoferował mi pracę, byłem naprawdę szczęśliwy, aż trudno było uwierzyć, że skończyło się pasmo porażek. Miałem zająć się drobnymi pracami domowymi w jego letniskowym domku w górach.

Tym razem ja zawałem wszystko. Gdy tylko zostałem sam w tych górach natychmiast się upiłem, schlałem jak świnia i wpadłem w kilkudniowy ciąg. Po kilku latach niepicia załałem się w trupa. Wiedziałem, że zrobiłem mu świństwo i najlepiej będzie jeśli wrócę do Polski. Pisanie było odskocznią, skuteczną ucieczką od trudów życia na obczyźnie. Kilka miesięcy temu wróciłem do kraju, felietony wróciły wraz ze mną.

Byliśmy razem w Wielkiej Brytanii, towarzyszyliście mi podczas sprzątania magazynów, dopingowaliście, gdy szukałem nowej pracy, wspieraliście, kiedy zapiłem we Francji i podczas pobytu w szpitalu. O Żabce już nie wspomnę. Przeszliśmy wspólnie kawał świata, ale jeszcze szmat drogi przed nami.

Drogi której końca nie widać, chociaż w pewnym momencie niewiele do tej mety brakowało.

Pomimo tego, że wróciłem do domu – fizycznie – to nie udało mi się wrócić tam, skąd wyjechałem – metaforycznie. To legło w gruzach i boli najbardziej. Metaforycznie jestem więc ciągle na banicji.

Wystarczy tych wspomnień, bo rzewnie się zrobiło i zaraz się rozkleję. Zresztą, dalszą część już znacie i pamiętacie – desperacka próba samobójcza, detoks i teraz program, który ma mnie wyleczyć z nałogów.

Każdego ranka biorę 12 mg Suboxonu. Co dwa tygodnie jeżdżę do Lublina, gdzie w specjalnym punkcie odbieram swoją czternastodniową rację leku. Raz w tygodniu wizyta u dentysty, a resztę czasu spędzam w Kazimierzu. Tak teraz wygląda mój tydzień. Przewidywalna kalka, która zaczęła mi się podobać.

W poprzednim odcinku wspomniałem o kurnej chatce w centrum miasta i wyjątkowym człowieku i wspaniałym artyście – Ludwiku Sandeckim, który wszczepił mi zamiłowanie do drewna i uczył trudnej sztuki posługiwania dłutem i młotkiem. To u niego trenowałem wyobraźnię, by wiedzieć, co odrzucić z kawałka klocka, by wydobyć z niego rzeźbę. I on nauczył mnie jak to zrobić, by dłuto posłusznie wykonywało polecenie wyobraźni. Chociaż pracownia jego zawałona była prawdziwymi dziełami wypracowanymi w drewnie, to nie miał oporów, by w kilkadziesiąt minut wyrzeźbić ludowego świątka, na którego akurat miał kupca. Ale o tym napiszę już innym razem, gdy znowu nie będę miał pomysłu.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info